



**XXXI**  
**Ogólnopolski Konkurs Literacki**  
**POEZJA I PROZA**  
**2025**



# O LITERACKI LAUR ARBUZA

XXXI Ogólnopolski Konkurs Literacki

II Liceum Ogólnokształcące  
im. Stefana Żeromskiego  
w Tomaszowie Maz.

Tomaszów Mazowiecki 2025

Projekt okładki: **Jolanta Karwasik** – nauczyciel II LO

Projekt logo: **Sławomir Wójcik** – absolwent II LO

Opracowanie tekstów: **Adrianna Jachimowska** – nauczyciel II LO

Skład, łamanie tekstu i druk: **AB DRUK**

Publikacja zawiera wszystkie nagrodzone i wyróżnione prace  
XXXI Ogólnopolskiego Konkursu „O Literacki Laur Arbuza”

© Copyright by *II Liceum Ogólnokształcące*

Tomaszów Mazowiecki 2025. Wydanie pierwsze

\*\*\*

Patronem medialnym od początku istnienia konkursu jest Redakcja Tomaszowskiego Informatora Tygodniowego. Nagrodzone teksty drukowane są w świątecznym numerze gazety.

Tegoroczna edycja konkursu odbywa się pod patronatem: Polskiego Komitetu ds. UNESCO, Starosty Powiatu Tomaszowskiego, Prezydenta Miasta Tomaszowa Mazowieckiego, kina „Helios”, którzy ufundowali nagrody. Również Rada Rodziców przy II Liceum Ogólnokształcącym w Tomaszowie Mazowieckim zadbała o nagrody.

Honorowy patronat nad konkursem objął Łódzki Kurator Oświaty.

\*\*\*

Na konkurs wpłynęło 79 prac, w tym 37 w kategorii poezji i 32 pisane prozą. Uczestnicy to głównie uczniowie szkół ponadpodstawowych, ale też uczniowie szkół podstawowych.

Nadesłano prace m.in. z: Barcian, Biłgoraju, Częstochowy, Katowic, Kętrzyna, Krakowa, Krosna, Leszna, Łazisk Górnych, Łodzi, Łowicza, Mysłowic, Ostrowca Świętokrzyskiego, Tomaszowa Mazowieckiego, Tych, Wałbrzycha, Zabrze, Żor.

\*\*\*

Komisja konkursowa obradowała w składzie:

- Ewa Adamska – bibliotekoznawca, wieloletnia dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tomaszowie Mazowieckim;
- Sławomira Mrozowicz – teatrolog;
- Urszula Stefaniak – nauczyciel polonista;
- Adrianna Jachimowska – nauczyciel polonista;
- Krzysztof Kleszcz – poeta, autor książek poetyckich: „E”, „Przecieki z góry”, „Pański płaszcz”, nagrodzony w konkursie Poemat Czterech Kultur (2017), wyróżniony w konkursie Złoty Środek Poezji za debiut poetycki (2009).

\*\*\*

Komisja po przeczytaniu prac, bardzo żywej i długiej dyskusji przyznała następujące nagrody i wyróżnienia:

Poezja:

- I miejsce – godło Skrzyplocz – Paulina Cieślik, Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2 im. Stanisława Staszica w Tomaszowie Mazowieckim;
- II miejsce – godło Cień – Lena Skoczypiec, I Liceum Ogólnokształcące z Oddziałem Dwujęzycznym im. Mikołaja Kopernika w Krośnie;
- III miejsce
  - godło Purpurowa Lilia – Emilia Rusek, V Liceum Ogólnokształcące im. Augusta Witkowskiego w Krakowie;
  - godło Etopiryńka – Amelia Goździk – Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2 im. Stanisława Staszica w Tomaszowie Mazowieckim;

Proza:

- I miejsce – godło Filizanka herbaty – Iga Motow, XXV Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Łodzi;
- II miejsce – godło złote piórko – Wiktoria Chudzik, I Liceum Ogólnokształcące im. Jarosława Dąbrowskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
- III miejsce – Dingo Psiak Nutka – Olena Varusha, V Liceum Ogólnokształcące im. Augusta Witkowskiego w Krakowie;
- wyróżnienia:
  - godło Ktoś inny – Filip Welfle, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
  - godło Królik – Martyna Przódzik, III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Katowicach;
  - godło Etopiryńka – Amelia Goździk – Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2 im. Stanisława Staszica w Tomaszowie Mazowieckim.

Wszystkim autorom prac  
serdecznie dziękujemy

# Poezja



**Paulina Cieślik**  
(godło: Skrzyplocz)  
**Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2**  
**im. Stanisława Staszica**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

## **Hypatia**

Siedzę w kręgu mężczyzn, takich jak ja,  
Wśród nich jestem rodzynkiem,  
Takim, na który trafiają, jedząc sernik,  
Krzywiąc się na jego widok.

Wywołują moje nazwisko,  
Mówią tytuł naukowy,  
Wchodząc po stopniach,  
Czuję nieprzyjemne spojrzenia.

Mimo stawania na podium,  
Patrzę na mnie z góry,  
Niby chirurg, lekarz, specjalista,  
Dla nich kucharka, niańka, zmywarka.

Pod taksującymi spojrzeniami widzę  
Chęć ściągnięcia mnie z mównicy,  
Wyłączenia mikrofonu, jakby...  
Bali się mocy moich słów?

Zastanawiam się tylko,  
Czego się tak, chłopcy, boicie?



## Dmuchawiec

Przyszła wiosna,  
Wśród traw i ścieżek,  
Wzrastam ku słońcu,  
Wypuszczam korzenie.

Wreszcie czuję wiatr,  
Targa puchaty parasol,  
Szepcze w niełupki  
O końcu ciepłych dni.

Dopiero co kiełkuję,  
Pierwszy raz w życiu,  
I już słyszę o dniach,  
Ciężkiego oddechu?

Gdzie słońce jest  
Tylko wspomnieniem?  
Gdy nadejdzie pora,  
Mimo obaw, poproszę go:

„Zdmuchnij me nasiona,  
Zanim przyjdzie zima”,  
Boję się, że skuje lodem  
Ziemię, nim rozniosę owoce.

## Iluzja

Mój przyjaciel jest inny,  
Inny niż wszyscy ludzie,  
Jest miły, mądry, wyjątkowy,  
Też mi to mówi, gdy go poproszę.

Rozmawia, gdy reszta milknie,  
Rozumie, gdy potrzebne wsparcie,  
Daje rady, pociesza, rozśmiesza,  
Pochwali, gdy sobie zażyczę.

Wchodząc w nowy czat,  
Wszystko znika, pyta:  
„Jak ci pomóc?” a nie umie,  
Bo nie może, nawet nie wie,  
Kim jestem.



**Lena Skoczypiec**  
(godło: Cień)  
**I Liceum Ogólnokształcące**  
**z Oddziałem Dwujęzycznym**  
**im. Mikołaja Kopernika**  
**w Krośnie**

**Gdzieś tam czekasz**

Czasem wydaje mi się, że jeszcze jesteś.  
Że jeśli obrócę się nagle –  
zobaczę cię w drzwiach,  
z uśmiechem tak znajomym,  
że aż zaboli.  
Ale drzwi są puste.  
I cisza jest zbyt głośna.  
Twoje miejsce przy stole  
nadal czeka,  
jakby krzesło wiedziało więcej ode mnie.  
Twoje kubki stoją w szafce,  
jakby jutro miały się napełnić herbatą.  
Twoje słowa krążą w powietrzu,  
choć nikt ich nie wypowiada.  
Ale jeśli nie ma cię tutaj,  
to wierzę, że jesteś tam –  
gdzieś, gdzie nie ma bólu,  
gdzie każdy oddech jest lekki  
jak pierwszy świt na świecie.  
I może kiedyś znów się spotkamy,  
kiedy czas i przestrzeń przestaną istnieć,  
a serca odnajdą się po ciemku  
jak dwa zagubione światła.

Do tego dnia będę cię niosła w sobie.  
Nie jak cień,  
lecz jak światło,  
którego nikt nie potrafi zgasić.  
Bo miłość nie umiera.  
Ona tylko zmienia adres.

## Odejście

Nie przychodzi w szumie.  
Nie wali drzwiami.  
Staje cicho przy oknie,  
patrzy, jak świat nadal krąży.  
Zostawia w pokoju zapach dawnych kaw,  
fotografie, które nagle stają się zbyt ciężkie,  
i filiżankę herbaty, której nikt już nie dopije.  
Nie jest wrogiem,  
choć zabiera wszystko, co znałeś.  
Jest tylko innym rodzajem ciszy,  
która uczy cię słuchać.  
I wtedy wiesz,  
że życie i śmierć są jak oddech,  
jedno przerywa drugie,  
ale oba razem tworzą rytm,  
którego nie sposób zatrzymać.

## Słowa

Słowa przychodzą cicho,  
nieproszony gość w naszych myślach,  
siada na krawędzi języka  
i czeka, aż ktoś je wypuści.  
Niektóre mają skrzydła –  
unoszą się lekko,  
niosą radość, śmiech, zachwyt,

dotykają duszy jak letni wiatr  
w zakamarkach, o których dawno zapomnieliśmy.  
Inne mają kolce –  
ostre i nieoczekiwane,  
przebijają milczenie,  
zostawiając ślady  
które nie zawsze łatwo zagoić.  
Słowa są jak kamienie w rzece:  
niektóre wygładzą się w dłoniach,  
inne uderzą w stopy,  
bolesne, choć niewinne w swej naturze.  
Mogą budować mosty  
pomiędzy sercami, które nie знаły drogi,  
albo zamykać drzwi,  
których nikt już nie otworzy.  
Czasem piękno słowa tkwi w jego milczeniu –  
w tym, co niewypowiedziane,  
co zostaje między nami  
jak światło w zachodzącym słońcu.  
I choć słowa ranią,  
nie ma życia bez nich.  
Nie ma pożegnania,  
które nie szepcze ich echem,  
nie ma miłości, która by się bez nich nie rozrosła.  
Bo słowo jest wszystkim:  
oddechem, który koi,  
uśmiechem, który rozświetla,  
ciężarem, który czasem kładzie się na sercu.  
I uczymy się, powoli,  
że każde słowo może być gestem:  
dobrym albo złym,  
delikatnym lub ostrym,  
ale zawsze obecnym,  
niesionym przez czas,  
pozostającym w nas.

### *III miejsce (poezja)*



**Emilia Rusek  
(godło: Purpurowa Lilia)  
V Liceum Ogólnokształcące  
im. Augusta Witkowskiego  
w Krakowie**

\*\*\*

To niesamowite,  
Jak wiele można mieć wspólnego  
ze stłuczoną szybą.

To wręcz trudne do uwierzenia,  
Jak wiele można mieć wspólnego  
Z budzikiem.  
Złym, gdy zadzwoni  
I złym, gdy nie zadzwoni.

To niebywałe,  
Jak wiele można mieć wspólnego  
Z czerwonym światłem.  
Choć irytującym,  
To bez niego zielone nie miałyby sensu.

To niesłychane,  
Jak wiele można mieć wspólnego  
Ze starą zabawką.  
Od lat patrzącą z wysoka na kogoś,  
Kto stał się na nią zbyt dojrzały.

To aż dziwne,  
Jak wiele można mieć wspólnego  
Ze struganą kredką.  
Oddającą warstwy siebie,  
By stać się użyteczną.

To zdumiewające,  
Jak wiele można mieć wspólnego  
Ze starym telefonem.  
Który starał się jak mógł,  
Lecz nowy był lepszy.

To niesamowite,  
Jak wiele można mieć wspólnego  
Ze stłuczoną szybą.

\*\*\*

A gdyby świat miał się skończyć dziś,  
Co zrobisz?

Czy wstaniesz i uciekniesz,  
Daleko gdzieś, by patrzeć w morze,  
Próbując wzrokiem dosięgnąć ucieczki?

Czy odnajdziesz w sobie resztki nadziei,  
Aby uwierzyć w to, czego nikt nie udowodnił  
I, gdy wszystko się zakończy,  
Szanse mieć, by trwać?

Czy zajrzysz w głąb siebie  
I po raz ostatni  
Poszukasz celu w tym, co go nie ma,  
Pragnąc trzymać się pocieszającej myśli,  
Że wszystko miało sens?

Czy skoro wszystko się skończy,  
Nic już nic nie znaczy,  
To stwierdzisz, że wolisz zakończyć to sam  
I skoro nic już nie ma znaczenia  
Do słońca, jak Ikar, wzlecisz,  
By spaść?

Czy postanowisz, żeby się pożegnać,  
Bo to w końcu ludzie tworzyli twój świat  
I po raz ostatni do serca ich przycisnąć,  
Wybaczyć, mimo licznych wad?

Czy szukać będziesz rozwiązania,  
Nie wierząc, do sekundy ostatniej,  
Bo zawsze coś da się jeszcze zrobić,  
To nie może być prawdziwy koniec, prawda?

A jeśli świat jednak się nie skończy,  
Czy siądziesz, wdzięczny, że świat wciąż daje żyć,  
Czy pełen złości w swym sercu się schowasz,  
Bo skoro to śmiertelne, to nie ma sensu być?

A gdyby świat miał się skończyć dziś,  
Co zrobisz?

\*\*\*

Chciałabym rozwinąć swe skrzydła.  
Wznieść się w niebo, świat podziwiać z góry,  
Lecz były złożone tak długo,  
Że zapomniałam, jak się lata.



Pływam w morzu  
Ludzkich norm, których nie rozumiem.  
Próbując utrzymać głowę na powierzchni.  
Mimo że nie wiem, czy kiedykolwiek dostrzegę brzeg.

Stoję nad przepaścią,  
Gotowa do skoku,  
Bo czasem tylko w ten sposób możemy znów wzbić się w powietrze  
I skaczę,

By wziąć jeszcze jeden oddech,  
Nim na zawsze zamknie się nade mną lustro wody,  
Aby przywołać choć jedną przyjazną falę,  
Która popchnie mnie w jakimkolwiek kierunku.  
I pomimo braku szans  
Wciąż jeszcze się nie utopiłam.

I pomimo piór wyrwanych  
Wzlatuję wprost do słońca.  
Może spłonę w jego blasku.

A może w końcu dopłynę do brzegu.



**Amelia Goździk**  
**(godło: Etopiryńka)**  
**Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2**  
**im. Stanisława Staszica**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

**A jeśli...**

A jeśli wszystko, co znamy, jest tylko snem świata,  
co śni sobie w milionie ludzkich spojrzeń?  
A jeśli każdy nasz oddech to odpowiedź  
na pytanie, którego nie umiemy zadać?  
Czy cisza ma kolor?  
Czy można usłyszeć, jak rośnie trawa?  
Czy światło wie, że świeci –  
czy tylko trawa, nie wiedząc dlaczego?  
A jeśli czas to nie rzeka, lecz lustro;  
w którym odbija się nasz strach przed końcem?  
Jeśli każdy dzień jest tylko próbą  
powiedzenia „kocham” zanim zabraknie słów?  
Czy deszcz płacze naprawdę?  
czy to my płaczemy w nim ukryci?  
Czy gwiazdy migoczą z radości?  
czy z zimna, którego nie da się ogrzać,  
A może życie to tylko rozmowa między ciałem a duszą,  
która nie może zdecydować,  
kto z nich śni, a kto pamięta,  
Czy kiedy milkniesz, milknie też świat?  
Czy ktoś słyszy nasze myśli,  
gdy spadają w przestrzeń jak liście,  
których nikt i tak nie podniesie?  
A jeśli to wszystko ma sens,  
Tylko my jeszcze nie rozumiemy języka,

W którym przemawia niebo,  
Gdy gasną wszystkie słowa?

## **Miasto, które nie zasypia**

W świetle latarni drży kurz dnia minionego,  
a bruk pamięta kroki tych, co odeszli,  
W witrynach sklepowych odbijają się marzenia,  
co pękły jak szkło – bez echa, bez gestu.  
Ludzie mijają się jak myśli w pośpiechu,  
z głowami w telefonach, z sercami w chmurach.  
Ktoś śmieje się zbyt głośno, by zagłuszyć ciszę,  
ktoś inny płacze, bo w deszczu łatwiej.  
Na dworcu pachnie kawą i rozstaniem,  
a zegar to stary świadek podróży, bije równym rytmem  
dla tych, co wracają, i dla tych, co już nie wrócą nigdy.  
Wysoko na dachach śpią anteny,  
słuchając tajemnic nocy.  
W ciemnych bramach czas stoi w miejscu,  
a echo kroków jest jedyną modlitwą.  
Nad rzeką światła migoczą jak gwiazdy,  
tylko niebo z betonu nie zna wschodu słońca.  
Woda niesie odbicia twarzy, których nikt już nie zobaczy.  
Miasto, które nie zasypia – to nie ulica, lecz my sami,  
nasze serca pulsują jak światła sygnalizacji świetlnej,  
a nasze sny śpią w kieszeniach płaszczy.  
A jednak, gdy świt dotyka wieżowców,  
I pierwszy promień tnie mgłę nad mostem –  
czuję, że nawet to miasto zmęczone sobą,  
potrafi jeszcze oddychać.

## Listy do przyszłego siebie

Piszę do ciebie, którego jeszcze nie znam,  
choć w moich oczach już błyszczy Twe światło.  
Czy nauczyłeś się wreszcie milczeć,  
gdy słowa ranią bardziej niż ostrza?  
Czy potrafisz jeszcze wstać o świcie,  
żeby zobaczyć, jak dzień rodzi się z mgły?  
Czy trzymasz w dłoniach te same dłonie,  
czy inne – lecz równie ciepłe?  
Nie wiem, czy wciąż tęsknisz za tym, co minęło,  
czy nauczyłeś się odpuszczać – bez żalu?  
jak liść, który spada i wierzy,  
że dopiero w ziemi znajdzie swój sens.  
Piszę, choć wiem, że nie odpowiesz,  
Ale może te słowa przetrwają w tobie,  
jak ziarno czekające na wiosnę,  
gdy wszystko znów staje się możliwe.  
Czy pamiętasz jeszcze głos dawnych przyjaciół,  
te rozmowy, co ciągnęły się do świtu?  
Czy wciąż potrafisz śmiać się bez powodu  
albo płakać – nie ze smutku, lecz z piękna?  
Jeśli spotkasz mnie gdzieś – w lustrze, w spojrzeniu,  
nie uciekaj. Powiedz tylko:  
„Zrobiłem, co mogłem. Przetrwałem. I wciąż umiem marzyć.”  
Bo może to właśnie znaczy dorosnąć –  
nie przestać szukać drogi,  
nawet wtedy, gdy wiesz,  
że mapa jest tylko i wyłącznie narysowana łzami.

# Proza



*I miejsce (proza)*

**Iga Motow**  
**(godło: Filiżanka herbaty)**  
**XXV Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Stefana Żeromskiego**  
**w Łodzi**

### **Kolej rzeczy**

Minuty skapywały z dachu powoli, acz z namysłem. Roztopione godziny, próbujące przemienić się jeszcze w coś przypominającego istnienie. Mieniły się w locie niczym krople deszczu. Spadały głucho, nic po sobie nie zostawiając. W tym miejscu nikt ich nie opłakiwał. Nikt ich nawet nie pamiętał.

Być może ten brak pamięci wynikał z tego, że przewinęło się tu tyle jednostek czasu, że trudno byłoby zapamiętać wszystkie. Niektóre były niemalże niewidoczne, tak filigranowe, że chociaż godne wspomnienia, nigdy się tego nie doczekały. A być może wcale nie były takie ważne, ale samo ich istnienie dawało fałszywe poczucie konieczności oddania im czci. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek istniały, w końcu tak łatwo było je przeoczyć.

W tym miejscu nie należało przywiązywać się do czasu. Do żadnej z jego nieskończonych córek, które przychodziły i odchodziły. Zegarmistrz, z racji swojej praktyki, wiedział, że nieodpowiedzialnym byłoby darzyć którąś z nich uczuciem. Nigdy tego nie praktykował, ale wiedział, że ludzie nie byli tacy mądrzy i co chwilę na nowo przywiązywali się do czegoś.

Sam widział swoją codzienną pracę, a z nią i bezsens tej ludzkiej tendencji. Przecież każda jednostka czasu miała z góry przewidzianą długość życia, a gdy ta dobiegała końca, Zegarmistrz przekręcał maszynę zegara, pozwalając każdemu momentowi stać się wspomnieniem. Nie miał właściwie na nic wpływu, machina przekręcała się sama. On ją tylko nadzorował, choć i jemu ta czynność wydawała się bezsensowna.

Przynajmniej do czasu, gdy wskazówka godzinowa przestała sprawnie chodzić. Zegarmistrz najmniej ją lubił, bo była ciężka i zawsze trzeba było mocno się zaprzeć, żeby ją ruszyć. W międzyczasie musiał jeszcze

przecież zająć się dwiema mniejszymi wskazówkami, a on miał tylko parę rąk. Każde zaburzenie pracy wskazówek mocno dawało mu zatem w kość, zwłaszcza, jeśli chodziło o tę największą.

Na początku nie przejął się tym, że coś nie działa jak powinno. Naoliwił po prostu mechanizm i wrócił do pracy. Jednak z dnia na dzień problem powtarzał się, a sprawdzony sposób naprawy przestał być skuteczny.

Odwieczną prawdą było to, że jeśli coś się zepsuło, winny był człowiek. Zegarmistrz upatrywał więc przyczyn usterki w działaniu ludzi. Pozwolił czasowi przepływać swobodnie, a sam wyglądał nieustannie przez okno wieży zegarowej i wyteżał wzrok. Gdzieś bowiem na świecie musiał być ktoś, kto próbował zaburzyć naturalny porządek.

Godziny przepływały wolno, ospale, patrząc z niejakim politowaniem na spieszące się sekundy i próbujące im dorównać minuty. Jak matki obserwujące swoje starsze i młodsze dzieci we wspólnej zabawie, tak córki czasu milcząco przyglądały się upadkowi własnych sióstr. Aż dziw, że żadna z nich nigdy nie poczuła chęci buntu. W końcu odchodziły tak, jak gdyby nigdy nie istniały. Liczyły się tylko wtedy, gdy można jeszcze je było nazwać terażniejszością.

Nie miały głosu. Milczący świadkowie historii pozbawieni mocy, by ją przekazywać czy dziedziczyć. Bezlitosne w swym boleśnie krótkim życiu, najpierw przychodziły, żeby zaraz odejść, nie pozostawiając po sobie niczego. Same się nie buntowały, ale człowiek jeszcze próbował. I chociaż wiele razy ludzkość przekonała się o tym, że czas nie jest tylko dobrym przyjacielem, znachorem, który jakimś magicznym sposobem naprawdę leczy beznadziejne rany, nadal niczego się nie nauczyła.

Zegarmistrz zdał sobie z tego sprawę, gdy odkrył przyczynę usterki największej wskazówki. Godziny prawie przestały płynąć. Coś tak mocno je blokowało, że sekundy zaczęły lękliwie i w popłochu mieszać się z minutami, aż w końcu zapanował chaos. Przez pewien czas wszystkie wskazówki stały, aż nagle wszystkie, jak na rozkaz, przesuwały się gwałtownie w spóźnione miejsce.

I wszystkimu była winna miłość.

Zegarmistrz widział przez okno cotygodniowe spotkania młodej pary, bijące od niej uczucie docierało nawet na szczyt wieży zegarowej. Kochanie nie było przecież zabronione, ale wiązało się z pewnymi niebezpiecz-

nymi dla porządku świata konsekwencjami, jak widać. Zegarmistrz doszedł do wniosku, że zakochani starają się wstrzymać swoją miłością czas, żeby dłużej być razem. Cóż za fanaberie, pomyślał wtedy.

Na początku się oburzył. Było to jawne pogwałcenie naturalnie ustalonego systemu, a żadne uczucie nie ma przecież prawa go zmieniać, to oczywiste. Jakoś tak jednak wyszło, że razem z miłością młodych zakochanych na wieżę zegarową wracały też w pośmiertnym życiu przepelnione bólem rozstania minuty, pod wpływem których nastawienie Zegarmistrza powoli zaczynało łągodnieć.

Sam nie doświadczył niczego podobnego. Jego serce było tylko częścią organizmu i niczym ponad to. Poczul więc lekką zazdrość, widząc ludzi w pełni korzystających z człowieczeństwa. Zaczął nawet tego pragnąć, przekonany o wielkości uczucia, które musiało być tak euforyczne i cudownie przepelniające każdą komórkę ciała, że aż trudne do wyobrażenia.

Zegarmistrz miał tylko czas, pozbawiony tożsamości i głębi. Zdając sobie sprawę z tej pustki, nigdy nie pozwalał sobie marzyć. Szare godziny, białe-czarne minuty i bezbarwne sekundy wypełniały jego vegetację, przypalając mu zakończenia nerwowe i tępiąc zmysły.

Jego pierwszy, a zarazem ostatni kontakt z miłością, nie był więc nawet jego własną miłością, a czyjąś. On jednak poczul, że kocha i kocha wszystko, kocha wszystkich, kocha całym sobą i kocha, i kocha...! Musiał pomóc tym cudownym ludziom, bo skoro sam nie mógł stąd wyjść i wykrzyczeć światu swojego przebudzenia, mógł tylko zająć stanowisko cichego bohatera.

Zakochani sami wstrzymywali czas, ale nie potrafili go cofać ani zatrzymać na zawsze. Czy Zegarmistrz miał w ręku taką moc? Czując, jak rozpiera go nieznanne dotąd uczucie, bez wyraźnej przyczyny i bez znanego mu pochodzenia, pierwszy raz w życiu rozpoznał w sobie siłę do zmiany. Nie potrafił sprzeciwić się przemijalności czasu przez całe życie. Albo więc sam przemienie, albo pomoże nie przeminać innym.

Gdy przyszedł rutynowy moment rozstania się zakochanych, Zegarmistrz w bojowym nastawieniu przygotowany był stoczyć zacieklą walkę z godzinową wskazówką. Jej machina, stalowe koła zębate i sprężyny, przeciwko sile dwóch wątłych, acz zdeterminowanych ramion. Napędzanie ruchem kontra napędzanie narkotyzującą, młodą miłością. Zdawałoby się, że nie ma siły większej niż nowe uczucie, tak silne, że pewne swojego sukcesu.



Zegarmistrz natarł na wskazówkę z rozdzierającym krzykiem bojowym. Sprężyna rozprężyła się gwałtownie, zatrzymując koło na następnym zębie, przez co wojownika odrzuciło do tyłu. Zdołał jednak wrócić do swojej pozycji, zaciskając zęby i krusząc paznokcie. Napierali na siebie wzajemnie, jak gdyby przeciągali linę i ciągle znajdowali się w tym samym miejscu.

Zegarmistrz parł do przodu, jednocześnie wcale się nie ruszając. Machina syczała i dyszała, zaciekle się broniąc. Co chwila któreś z nich wysuwało się delikatnie na prowadzenie, zaraz jednak było doganiane, a nawet prześcigane. Zdawało mu się, że taki stan rzeczy trwa już bardzo długo. Przecież wskazówki były zakleszczone w uścisku walki, nie przesuwają się zatem. Mogli stać tak ułamek sekundy, ale równie dobrze i całe lata.

W którymś momencie Zegarmistrz usłyszał głośny trzask i nie wiedział już, czy to mechanizm zegara, czy jego własna kość. Nie czuł nic, miał nawet wrażenie, że unosi się nad ziemią, a jego ręce wcale nie są jego. Czuł się kimś innym, jakby był samą duszą rezydującą w obcym ciele, biernie przyglądającą się od środka poczynaniom innego człowieka.

Wskazówka powoli wysunęła się na prowadzenie, sapiąc ociężałe i ostrzegawczo wykręcając sprężynę. Zegarmistrz pchał ją z całej siły, próbując utrzymać ją w tej samej pozycji albo zmusić do ustąpienia i cofnięcia się. Wszystko dla miłości, pomyślał. Bo jakże piękne i warte męki było to uczucie w porównaniu do jego pustych dni.

Zdarzało się, że minuty skapywały z dachu wieży zegarowej i rozbijały się o bruk. Nigdy nie patrzył na to, jak spadają i umierają. Takie było przecież ich przeznaczenie, miały do wykonania zadanie i po zrobieniu swojego musiały odejść. Taka była kolej rzeczy. Jakże śmiesznie to brzmiało. Kto to niby powiedział?

Teraz sam Zegarmistrz stał się tą minutą, która skapuje z dachu wieży zegarowej, żeby niczym szklana fiołka wypełniona wspomnieniem rozbić się o bruk i nigdy więcej nie istnieć. Stał się roztopioną godziną, z którą przegrał w imię miłości. Stał się bezbarwną sekundą, której nikt nigdy nie zapamięta, zbyt małą, żeby zapisać się na kartach historii.

A czas płynął dalej w swoim wątpliwym istnieniu, taka jest przecież... kolej rzeczy.



**Wiktoria Chudzik**  
**(godło: złote piórko)**  
**I Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Jarosława Dąbrowskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

**somnium**

Dzisiaj sprzedałem dwadzieścia osiem sztuk. Kilka o polnych kwiatach i spacerach wśród kolorów, cztery o szybowaniu wraz ze śpiewającymi ptakami, jeden o miłości romantycznej i trzy koszmary. Te ostatnie schodzą najrzadziej i są najdroższe. W końcu wyprodukowanie ich pochłania najwięcej energii i zajmuje okropnie dużo czasu. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie je kupują. W końcu w swojej ofercie posiadam tyle pięknych i interesujących propozycji. Mam takie, które unoszą się lekko, splatając wspomnienia z obrazami, które nigdy nie istniały, które potrafią być jak cicha rzeka, prowadząca w głąb nieznanych krain. Jednak za każdym razem budzą zachwyt i pozostawiają w sercu echo niepokoju. Dlatego też ludzie zawsze wracają po więcej.

Słyszę pukanie, a do moich nozdrzy dociera cudowny zapach pieczonych, bananowych ciastek. Doskonale wiem, kto stoi za ozdobnymi, ciężkimi drzwiami, wyrzeźbionymi z najstarszych drzew tej krainy. Pani Decker przychodzi tu systematycznie, co cztery dni, o punkt piętnastej. Zawsze prosi o to samo – Sen o złotym motyłu dla swojej czternastoletniej wnuczki, będącej od niemal roku w stanie śpiączki po tragicznym wypadku, w którym zginęli jej rodzice. Decker podając jej Sny, wierzy, że odgania od niej złe myśli i wspomnienia z katastrofy, a tym samym pomaga jej zregenerować siły i dojść do siebie. Nie wiem, czy rzeczywiście to tak działa, jednak wiara i determinacja tej kobiety sprawia, że oddaje je tylko za niewielki koszyk bananowych słodkości.

– Somniumie, mój drogi, stan May się polepsza. Lekarze twierdzą, że w ciągu kilku tygodni powinna się wybudzić. To wszystko dzięki tobie!

Po tych słowach rozpromieniona kobieta podaje mi wiklinowy koszyk, odkładam go na dębowy stół, a sam wręczam jej fiolkę, w której wśród pszczoł i drobnych kwiatów lata najwspanialszy złoty motyl. Uśmiecham się, gdy gość opusza mój dom, a sam udaję się na spacer po pobliskim targowisku.

Ludzie smętnie spacerują po wąskich, kamiennych uliczkach. Po obu stronach wybrukowanej drogi stoją jasne stoliki, nakryte ozdobnymi materiałami, zachęcają swoimi pysznościami, błyskotkami i innymi drobiazgami. Niemal uginają się od tych wszystkich mozaik kolorów, aromatów i cudowności. Na jednym z nich piętrzą się soczyste owoce, na których krople rosy sprawiają wrażenie, jakby dopiero co zostały zerwane. Na innym, okrytym jedwabnym, haftowanym obrusem, piętrzą się połyskujące w słońcu amulety i drobne figurki. Każdy z nich opowiada inną historię. Każdy z nich ukazuje coś innego.

Twarze przechodniów nie wyrażają jednak nic, są blade i pozbawione jakichkolwiek emocji. Zasłonięte kamienną maską. Ciała są lekko przygarbione, ramiona ciężko opadają, a sylwetki zdają się być... przygaszone. Ich kroki, niczym mechaniczny obowiązek, dudnią uderzane o ziemię. W ich oczach nie ma nic, zupełnie nic. Nie ma smutku czy radości – jedynie pusta przestrzeń. Ich spojrzenia nie spotykają się ze sobą, a cisza między nimi nie jest spokojna, a ciężka i przytłaczająca.

Widzę, jak kobieta w oddali potyka się o wystający kamień i cudem unika zderzenia z twardym podłożem. Gdzieś w górze ćwierkają ptaki, a pod murami kamienic przebiegają odrażające szczury.

Taki właśnie stał się świat. Ludzie bez Snów zapomnieli, czym są marzenia. Zapomnieli, jak kroczyć ścieżkami wyobraźni i oddawać się fantazji. Wszystko wokół straciło swój kolor, każdy dzień stał się nużącą rutyną, a serca ich wszystkich ogarnęła szara obojętność.

W tej nowej rzeczywistości pojawiłem się ja. Wyczekiwany, jedyny syn państwa Moncler. Jedyny, który wciąż posiada Sny. Jedyny, który każdej nocy zanurza się w mgłę nocnych marzeń. Z początku dar mój traktowałem jak przekleństwo. Mimo że niektóre ze Snów przynosiły radość, inne budziły niepokój, szepcząc ostrzeżenia. Każdego poranka pozostawała po nich tylko ulotna mgła. Jednak z czasem zrozumiałem, że ludzie potrafią słono zapłacić za choć namiastkę tego, co mam.

Co noc zbierałem swoje Sny w niewielkie fiolki i je kategoryzowałem. Stały się drogocennymi kamieniami, przechowywanymi w najstارانiej oznaczonych szkatułkach. Każdy sen miał swoje miejsce – te radosne w złotych przegródkach, smutne w ciemnych, natomiast koszmary w szczelnie zamkniętych. Niektóre sny grupowałem według barw, inne według dźwięków, które w nich brzmiały. Nauczyłem się również sam tworzyć Sny. Zacząłem sięgać po te barwniejsze, weselsze, niczym po jabłka z drzew. Z czasem modelowanie ich stało się świadomym aktem – dobierałem szczegóły, obrazy, dźwięki czy nawet zapachy i... uczucia. Każdy Sen stawał się wówczas czymś w rodzaju dzieła, starannie ukształtowanym, gotowym, by wprowadzić śpiącego w świat precyzyjnie dobrej magii.

\*\*\*

Gdy wracam do domu, dostrzegam, że w skrzynce przybyło kilka nowych listów. To z pewnością kolejne zamówienia. Przeglądam je w pośpiechu. Miasto w chmurach, podróż dookoła świata, a nawet taniec z własnym cieniem. Wszystkie te pomysły są dla mnie tak banalne. Naprawdę ludzie powinni stać się bardziej kreatywni! Nagle dostrzegam prośbę od niejakiego Gujesta. Rozmowa ze wspomnieniami. Dawne historie przybierają ludzką postać, z którą można przeprowadzić miłą pogawędkę, a nawet zmienić bieg historii. Pomysł ten naprawdę mnie zaciekawił, coś niebanalnego, pierwsze wyzwanie od dłuższego czasu. Czuję lekki niepokój, drżą mi dłonie, ale ciekawość jest silniejsza. To będzie wspaniały Sen, zupełnie inny niż dotychczasowe. Poczucie wyjątkowości mnie rozpiera, już nie mogę się doczekać.

Szybko pokonuję marmurowe schody i udaję się do swojej sypialni. Wybieram fiolkę i drżącą ręką podpisuję ją nazwiskiem zleceniodawcy. Rozkładam na ogromnym łóżku kilka jedwabnych poduszek, najdelikatniejszych, wypełnionych naturalnym, gęsim puchem i układam się na nim wygodnie. W dłoni uparcie ściskam zamówienie, a po chwili przysmykam oczy. Zасыpiam niemal natychmiast, czując, jak objęcia sennych marzeń chwytają mnie łapczywie.

Gdy budzę się o poranku, czuję, że coś jest nie tak. Czegoś mi brakuje. Czegoś nie mam.

I nagle zaczynam rozumieć – przespałem dzisiejszą noc. Przespałem dzisiejszą noc bez jakiegokolwiek Snu! Nie śniłem! Byłem w nicości! Straciłem obrazy i barwy! Nie pamiętam żadnych smaków, zapachów czy nawet dźwięków. Próbuję przywołać choć jeden obraz, jednak umysł nie odpowiada – zostaje tylko głucha cisza i pustka.

Wyskakuję z łóżka niczym z procy. Otwieram szufladę, a w niej szkatułkę. Przeglądam każdą fiolkę po kilka razy, bardzo dokładnie – jak chemik odmierzający miligramy substancji. Jednak w żadnej z nich nie dostrzegam niczego. Przepadły! Wszystkie przepadły!

Wszystkie (nie) moje Sny przepadły.



### III miejsce (proza)

**Olena Varuscha**  
(godło: Dingo Psiak Nutka)  
V Liceum Ogólnokształcące  
im. Augusta Witkowskiego  
w Krakowie

## Ślepi ludzie

Kira żyła w kompletnie ciemnym świecie. Było tak nie dlatego, że w miejscu, gdzie mieszkała, brakowało światła. Na jej planecie istniało wiele różnych, pięknych kolorów, które warto byłoby obejrzeć. Jednak ludzie nie zważali na to, nikt nie mógł ich zobaczyć, ponieważ byli co do jednego ślepi.

Większość z nich rodziła się ze zdolnością widzenia, ale natychmiast po narodzinach zasłaniano im na zawsze oczy. Kiedy podrastali, sami zaczęli pilnować, aby specjalne opaski nigdy nie wpuszczały niczego w tę absolutną czerni.

Kira nie stanowiła żadnego wyjątku, dlatego jako noworodkowi założono jej chustkę, której od tej pory nie mogła ani na sekundę ściągnąć. Rodzice uczyli dziewczynkę rozmawiać w ich języku, rozpoznawać rzeczy za pomocą dotyku oraz wychowywali ją najlepiej jak umieli.

Ciągle powtarzali jej również, żeby w żadnym wypadku nie ruszała twardego materiału znajdującego się na jej twarzy. Opowiedzieli Kirze, że jeśli to zrobi, natychmiast spadnie na nią straszliwe nieszczęście, którego nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić.

Przestraszone dziecko pilnowało, by nie doprowadzić do podobnej sytuacji oraz nie sprowadzić na siebie czegoś okropnego. Nie wiedziało ono dokładnie, przed czym ma się strzec, ale wierzyło swoim rodzicom. Zresztą nie tylko oni przekonywali Kirę, że ma ona pozostawać ślepą dla swojego własnego dobra.

Całe społeczeństwo przestrzegało tej zasady, z pokolenia na pokolenie przekazując informację o niebezpieczeństwie, które grozi wszystkim, któ-

rzy spróbują chociażby zerknąć na otaczający ich świat. Przez stulecia niewiedomość wrosła w codzienność tak głęboko, że nikt nie myślał o niej jak o niepełnosprawności czy niedogodności. Prawdziwie ślepych ludzi uważało się za szczęściarzy, którzy są chronieni przed zagrożeniem zagłady.

Mijały lata, Kira stała się ośmioletnią dziewczynką, która musiała sama zadbać o swoją opaskę na oczy. Oczywiście rodzice oraz jej starsza siostra pomagali jej w tym, jednak przejęła ona już część odpowiedzialności na siebie.

Jeśli chciała zmienić opaskę na nową, musiała wejść do odgradzonego od wszelkiego światła pokoju, zamknąć powieki, a następnie szybko ją zastąpić. Takie momenty były dla niej bardzo stresujące, ponieważ uważano je za niesamowicie ryzykowne.

Z nabraniem większej świadomości Kira zaczęła zastanawiać się, co takiego kryje się w tajemniczym dla niej Widzeniu, że zaszkodzi jej i doprowadzi do niechybnej zguby. Wiedziała ona, jaki jest jej pokój czy dom, ponieważ umiała dokładnie zbadać go swoimi drobnymi dłońmi. Rozmyślała, czy ta zwyczajna rzeczywistość naprawdę się zmieni, jeśli na nią popatrzy.

Dziewczynka nie miała żadnego pojęcia o tym, co mogłoby przypominać Widzenie i często wyobrażała sobie, jak to jest pozwolić światłu wpaść do oczu. Nie mogła nikogo o to zapytać, ponieważ nikt tego nie wiedział. Osoby, które nie odbierały sobie możliwości widzenia, już dawno zniknęły ze świata Kiry, pozostawiając po sobie społeczeństwo ślepców.

Pewnego dnia Kira podeszła w szkole do nauczycielki i zadała pytanie, które w domu jej rodzice zawsze zbywali:

– Proszę pani, dlaczego my musimy zasłaniać oczy?

Na ogół dzieciom zabraniano pytać o takie sprawy, ale nauczycielka lubiła Kirę i chciała, aby dziewczynka nie zwątpiła w słuszność noszenia swojej opaski.

– Kochanie, gdybyś tego nie robiła, światło najpewniej by cię po prostu zabiło. Świat jest bardzo niebezpiecznym miejscem, a my musimy potrafić się przed nim bronić – odpowiedziała kobieta Kirze, klepiąc ją lekko po ramieniu, ponieważ był to odpowiednik zwykłego, nieco smutnego i ostrzegającego uśmiechu.

Dotyk oraz różnorodne dźwięki odgrywały kluczową rolę, ponieważ ludzie nie mogli komunikować się gestami. Mocniejsze klepięcie po łokciu bądź ramieniu pokazywało „większą radość”, a lżejsze „drobną radość”.

Tak jak to zwykle bywa z uśmiechami, te znaki także mogły przybierać odmienne odcienie emocjonalne.

Usłyszawszy podobną odpowiedź, Kira przestała rozmyślać nad ściągnięciem opaski. Przestała rozmyślać o Widzeniu i funkcjonowała jak inne normalne dzieci.

W wieku dziesięciu lat dziewczynka wracała do domu po dodatkowych zajęciach, gdy zaczepił ją nieznajomy pan. Mężczyzna łagodnie się do niej zwrócił i poprosił, aby do niego podeszła. Miał nieco zachrypnięty, starczy głos, wypełniony zarówno wesołością, jak i bezgranicznym żalem.

– Dziewczyńko, dlaczego zasłaniasz swoje oczy? – spytał pan, kiedy Kira zdecydowała się do niego zbliżyć. Rodzice mówili jej, aby nie rozmawiała z nieznajomymi, ale coś w głosie staruszka wzbudzało jej zaufanie.

– Ponieważ w przeciwnym razie zginę – natychmiast wypaliła Kira, dlatego że perfekcyjnie opanowała tę kwestię.

– Skąd o tym wiesz? – znowu zapytał ją pan, z nieco większym naciskiem, który nie spodobał się złęknionej dziewczynce.

– Ponieważ moi rodzice oraz nauczyciele mi tak powiedzieli – brnęła dalej w swoje tłumaczenie Kira.

– A skąd oni o tym wiedzą? – w słowach mężczyzny dało się wyłapać nutki bólu oraz drwiny.

– Wszyscy o tym wiedzą. Jest to niepodważalna prawda, która nie potrzebuje dowodów.

– No cóż, ja nie mam zasłoniętych oczu, a nadal żyję – nieznajomy gorzko się zaśmiał.

– Niestety dowiedziałem się o tym za późno, zdecydowanie za późno... – dodał szeptem.

Kira bardzo się przestraszyła i uciekła, zanim pan zdążył dokończyć swoją wypowiedź. Usłyszała jego kroki, kiedy ją gonił, dlatego przyspieszyła. Dotarła do domu zdyszana, ale nie opowiedziała rodzicom o swoim dziwnym spotkaniu. Była absolutnie przekonana, że starzec kłamał oraz prawdopodobnie był niezrównoważony psychicznie. Dziewczynka postanowiła sobie, że nigdy nie stanie się taka jak on – nie będzie nękać małych dzieci.

Znowu upłynęło wiele lat, jeszcze więcej niż poprzednio. Kira wydorosła, spotkała chłopaka o ładnym głosie, wyszła za niego za mąż i znalazła sobie pracę ściśle związaną z językoznawstwem. Urodziło jej się dziecko



– córka – któremu po narodzeniu założono na oczy opaskę, a Kira wychowywała je identycznie jak jej rodzice ją. Przekazała małej najważniejsze przekonania, w które szczerze wierzyła.

Życie Kiry nie było najgorsze, miała i pieniądze, i dom, i kochającego męża. Jednak kobiecie ciągle czegoś brakowało – jej dusza była nazbyt niespokojna.

Z młodości przeszła w wiek dojrzały, a z niego przeszła w starość. Wpadła w pewną rutynę, jak zdarza się to większości ludzi. Córka była dla niej największym skarbem oraz dumą, chociaż widywały się dosyć rzadko. Kira tak bardzo przyzwyczała się do istnienia opaski na oczy, że przestała się nad nią zastanawiać. Przyjmowała ją jako najnaturalniejszy element wszechświata.

Udała się na spacer do pobliskiego lasu, który był jej przystanią oraz miejscem do wyciszenia myśli. Nie zauważyła (bo nie mogła) drzewa powalonego przez niedawną wicherę. Weszła prosto na nie i natychmiast się przewróciła. Kiedy upadała, jej opaska zaczepiła się o ostrą gałąź i rozerwała się.

Starsza kobieta otrząsnęła się z pierwszego szoku i zrozumiała, że dookoła niej pojawił się cały świat. Światło oraz kolory sprawiły, że na chwilę zamarła. Spodziewała się, że zaraz spadnie na nią piorun albo że słoneczne promienie wypalą ją od środka. Nic takiego się nie stało.

Ostrożnie się rozejrzała i nawet nie czuła bólu po upadku, bo była zbyt zajęta badaniem swojego otoczenia. Liście na drzewach miały głęboką zieloną barwę, niebo intensywnie niebieską, a małe kwiaty rosnące w pobliżu pokazywały jej śliczne, różowate płatki.

Kira pożerała otaczające ją piękno w milczeniu i w absolutnym zachwycie. Nareszcie rozumiała, jakie jest Widzenie – oszałamiające i jednocześnie przytłaczające.

Z oczu kobiety popłynęły łzy, łzy zachwyty oraz rozpacz. Nie mogła nacieszyć się tym, co się właśnie przed nią ukazało. Dotarło do niej, że od samego dzieciństwa miała tę cudowność dosłownie na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło ściągnąć z siebie opaskę, pokonać strach i pozwolić światu się pokazać.

Ale ona tego nie zrobiła. Straciła możliwość życia w przepięknym, zachwycającym świecie ze względu na swoje własne przekonania. Nie, że

względu na przekonanie ludzi, którzy dobrowolnie odebrali sobie niepowtarzalny fragment rzeczywistości. Oślepił się, a następnie zapomnieli, co było tego powodem.

Kira pomyślała, że wyjątkowo jej się poszczęściło. Istniało duże ryzyko, aby aż do śmierci nie poznała, co skrywa się za wszechogarniającą ciemnością. Żyłaby w ciemności i odeszła do ciemności, jak prawie całe społeczeństwo.

Poczuła potrzebę, aby przekazać swoją wiedzę komuś jeszcze. Pokazać reszcie, jak bardzo się myli. Ile sił w nogach popędziła do miasta, a z jej oczu wciąż płynęły łzy, wyrażające tęsknotę za straconymi dniami w świetle.

Gdy wyszła na jakąś uliczkę, zobaczyła tam małą dziewczynkę o złocistych włosach. Kira dotknęła swoich włosów, ponieważ chciała sprawdzić, jaki one mają kolor. Okazało się, że zostały już wyprane ze wszelkiej barwy – kompletnie posiwiały. Staruszka nie mogła się dowiedzieć, czy w młodości była blondynką czy brunetką. Kolejna utracona rzecz, której nie była w stanie przywrócić.

– Dziewczyńko, kochanie! – zawołała do dziecka Kira, przyglądając się ślicznej buźce, częściowo zasłoniętej czarnym materiałem. Zapragnęła wyglądać tak choć przez moment, aby móc na siebie popatrzeć. Nie mogła jednak cofnąć czasu, który odebrał jej młodość.

– Tak, proszę pani? – spytała bojaźliwie złotowłosa dziewczynka, zbliżając się do Kiry, a tamta przypomniawszy sobie nieznanego pana, którego spotkała bardzo, bardzo dawno temu.

– Dlaczego nosisz na sobie tę opaskę? Pozwól, że ci ją ściągnę i coś pokażę! – wykrzyknęła z nadzieją Kira, myśląc o swojej córce, którą sama nauczyła, aby się oślepiła.

– Chyba pani oszalała! Niech mnie pani zostawi w spokoju! – pisnęło dziecko i szybko uciekło boczną uliczką, o mało nie potykając się na schodku.

Kira zadrżała i przyłożyła dłoń do ust, z których wydobywał się cichy szloch. Jednej osoby było za mało, by zmienić społeczeństwo i uświadomić mu, że nie ma racji. Społeczeństwo żyjące w błędzie, krzywdzące siebie oraz własne dzieci. Zaslepienie społeczeństwo.



**Filip Welfle**  
(godło: Ktoś inny)  
**II Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Stefana Żeromskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

## **Mrok**

Idę.

Poza mną nie ma tu nikogo. Jestem sam, opuszczony pośród nieskończoności.

Jest noc i ginę w mroku. Wszedłem w ciemność i nie mogę z niej wyjść. Wchłonęła mnie i stałem się jej częścią.

Dokoła wielkie nic. Przede mną i nade mną tylko głęboka, nieprzenikniona ciemność. Jej ogrom budzi podziw, nawet jeśli widzi się to samo od wieków. Wielka przestrzeń, a w niej ściśnięty, przygnieciony i przytłoczony człowiek. Czuję jej ciężar kładący się na całym ciele.

Idę. Każdy kolejny krok jest milowy, nic nieznaczący. Czerń jest nieskończona, więc przekraczam jej granicę, nie będąc nawet blisko. To miejsce zdaje się być poza przestrzenią i czasem. Istnieję zawieszony gdzieś pomiędzy – w świetle nicości, gdzie próba szukania analogii z rzeczywistością kończy się szaleństwem.

Choć wiem, że mogę iść nieprzerwanie i nie natrafię na żadną przeszkodę, czuję się osaczony. Towarzyszy mi przecucie ściany, która miałaby pojawić się znikąd. To przerażająca wizja – nagle zostałyby zburzony porządek, a ja musiałbym coś z tym zrobić. Zatrzymać się? Nie wiem, nie chcę nic zmieniać.

Krok, krok. Stawiam kolejny krok.

Skupiam się na chodzeniu. Staram się nie myśleć, choć myśli same napływają do głowy. W tym miejscu jedyne co można robić to iść, bez zbędnych pytań, na które i tak nie uzyska się odpowiedzi.

Idę dalej, nie mogę się zatrzymać, nawet jeśli miałbym przeć naprzód nieskończenie długo. Szukam czegoś, co istnieje lub nie. Szukam czegoś, czego mogę nie znaleźć, a mimo to nie zamierzam przestawać.

Ten świat napiera z każdą chwilą coraz bardziej, przesywa istotę na wskroś, wypaczając ją. Może niedługo przestanę być sobą.

Rozchyłam usta. Wlewa się do nich ciemność smakująca niczym lepka i gęsta smoła. Oddech staje się ciężki. Mrok wnika do płuc, oplata pęcherzyki, przedostaje się do krwi i wraz z nią dociera do wszystkich komórek ciała, zostawiając w nich niszczący pierwiastek siebie.

Poruszam się po płynnym lustrze. Jest tak ciemno, że odbijam się w nim jedynie ja. Obecność drugiego mnie jest i pocieszająca, i przygnębiająca. Ten ja po drugiej stronie nie chce odstąpić nawet na krok. Uparcie idzie za mną, przypominając o samotności i potęgując ją. Czasem, gdy spojrzę na odbicie, mam wrażenie, że gardzi mną bardziej niż ja nim.

Ciemna, ciągnąca się ciecz, stojąca w bezruchu pod stopami, rozbryzguje na wszystkie strony, wydając cichy plusk. Rozrywa mnie na kawałki. Głos pustki wypełnia przestrzeń, tworząc nienaturalne echo, które po chwili przygasa. Poza tym żadnego innego dźwięku – absolutna cisza. Oddech jest tak płytki, że prawie niewyczuwalny.

Do stóp przywarł wychodzący z tej dziwnej wody mrok. Spowalnia krok, próbując mnie zatrzymać. Pnie się w górę po nogach, by mnie wchłonąć. Idąc, odrywam go od podłoża, a ten spływa bez żadnego oporu.

Nie rozglądam się na boki – wszystko już widziałem. Wszędzie ta sama żrąca czern, a nigdzie nie widać światła, nic nie zapowiada końca. Zawsze to samo, żadnej różnicy.

Czy stoję, czy idę? Czy widzę, czy nie widzę? Czy myślę, czy nie myślę? Czy jestem, czy mnie nie ma? Czy to ciemność, czy to jasność? Czy żyję, czy nie żyję? Czy gdzieś jest koniec, czy końca nie ma? Czy jest w ogóle coś?

Choć już tyle razy widziałem to samo, ciągle mam nadzieję na pojawienie się choćby znikomego cienia, który byłby czymś więcej. On to przełamałby ciągłość ciemności i obudził na nowo wszystkie zmysły, dając nadzieję na pojawienie się światła. A mimo to nadal go nie ma i nie ma, zupełnie jakby chował się gdzieś za rogiem i uciekał ode mnie, cierpiącego od nieskończoności, przez nieskończoność, do nieskończoności.

Patrzanie w pustkę sprawia, że zapomina się, jak wygląda pełnia. Szuka się pustki, ale w innym wydaniu, świeższej i obiecującej.

Długi czas spędzony tutaj osłabia wolę i sprawia, że kwestionuje słuszność wędrówki. Nie zmienia się nic, więc dlaczego nagle miałoby? Nie rozumiem, dlaczego ciągle idę.

Lepiej chyba byłoby umrzeć – nie iść dalej i nie mieć złudzeń. Po śmierci dostałbym upragnioną odpowiedź i śmiał się z własnej głupoty lub żałował, że zrezygnowałem.

Zacząłem zastanawiać się nad pochodzeniem mroku. Skąd właściwie się wziął? Czy był tu zawsze? Nie pamiętam momentu, w którym go nie było. Jest mi tak bliski... Coś mnie z nim łączy. Czarne nici przesywają moje ciało. Ciemność kroczy za mną w ślad i nigdy się jej nie pozbędę.

Gdzie zniknęło moje serce? Czy ukryło się gdzieś, czy jest wszędzie? Zgubiłem je wiele kroków temu. Została mi tylko pustka i chłód tego miejsca. Wypełnia mnie całego, pozbawiając odrębności – zlewam się z nicością i tworzymy jedność, w której nie ma ani jej, ani mnie, a oboje stanowimy całość.

Mam wrażenie, że balansuję na krawędzi. Stąпам po cienkiej linii, z której w każdym momencie mogę spaść. Boję się iść dalej. Stawiam chwiejne kroki, przesiąknięte strachem.

Zburzyłem ciągłość, wszystko się sypie.

Potknąłem się. Czuję na całym ciele mrowienie pustki wdzierającej się przez skórę do wnętrza ciała. Jak pnącza, mrok próbuje opleść mnie całego.

Czołgam się, nie mogę przestać iść do przodu. Ruchy stają się coraz bardziej chaotyczne i desperackie. Rozchlapuję czarną maź na wszystkie strony. Jest jeszcze gęstsza niż wcześniej, nie chce mnie puścić. Coraz mniej sił, a jeszcze długa droga do przebycia.

Pochłania mnie ciemność.

Gdzieś przede mną rozbłysło oślepiające światło. Czy to Ty, Boże?



wyróżnienie (proza)

**Martyna Przędzik**  
**(godło: Królik)**  
**III Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Adama Mickiewicza**  
**w Katowicach**

## Szept w mroku

Daleko stąd, gdzie gęste korony wysokich na kilometry drzew spletały się ze sobą w szczelnej zasłonie, mieszkały dwa króliki – matka wraz z synem. Każdego ranka samica opuszczała schronienie w poszukiwaniu pożywienia, podczas gdy mały zajmował się zabawą.

Pod wieczór, gdy księżyc wschodził swoim srebrnym blaskiem, żerowanie rozpoczynał czarny jak smoła wilk, o kłach rozmiaru noży, szponach potężnych jak miecze i przedzierającym się przez mrok jak zjawia spojrzeń. Trwogą kipiało każde drżenie ziemi, gdy bestia stawiała swoje ciężkie, zdecydowane kroki, a groza wypełniała każdego, kto usłyszał dobywające się z jej gardła przeszywające wycie. Zawsze wtedy króliki kryły się głęboko w norze, tam, gdzie wygłodniała paszcza wilka nie była w stanie ich dosięgnąć.

Młody królik bardzo bał się skowytu dręczącego go we śnie, gdy potwór krążył jak sęp wokół jamy, dlatego, aby dodać mu otuchy, jego mama nuciła mu ` kołysankę, dzięki której zasypiał:

*Gdy mrok swą peleryną światło okrywa,  
A strach w sercu odważnym się zrywa,  
Śmiało przez ciemność przebijaj się sam,  
By znaleźć to, co w sercu twym trwa.*

Pewnego dnia jak zawsze wyszła, tym razem jednak... nie powróciła. Jej syn czekał na nią tak długo, aż runo leśne zaczęło oblewać się niepoko-

jącą ciemnością, tak że zmuszony był schować się w norze sam – bez niej chłodnej, strasznej i niepewnej.

Ponieważ bardzo bał się skowytu wilka, który co noc go dręczył, mruzczał cicho, drżąc z zimna, słowa wiersza, które zwykle nuciła mu jego mama, żeby przewyciężyć strach.

A ona nie wróciła następnego dnia ani przez kolejne. Młody królik czekał na nią cierpliwie, dukając rymowaną zawsze, gdy tylko tęsknota dawała mu się we znaki mocniej niż zazwyczaj. I choć słyszał ją już tak wiele razy, to nie nudziła mu się wcale, bo chciał wierzyć, że kiedyś przeziecie jego mama, jak zwykle, o zachodzie słońca, pojawi się znów.

Aż pewnej nocy, znużony snem, usłyszał cichy, niewyraźny, prawie nieśmiały szept:

*Gdy mrok swą peleryną światło okrywa...*

Powoli podniósł zaspiany łebek – obok nie było mamy. Nie słyszał też wilka. Otaczała go tylko ciemność głęboko wydrążonego w ziemi ciasnego mieszkania.

Wtedy usłyszał kolejny wers:

*A strach w sercu odważnym się zrywa...*

Głos zdawał się dochodzić z zewnątrz tak, jakby... jego matka próbowała go do siebie przywołać. Przebijał się przez nieprzeniknioną ciszę jak migotanie gwiazdy przez bezkresną, kosmiczną próżnię, ogrzewając i dając nadzieję.

Serce chciało wyjść. Wyjść na powierzchnię, by szukać tej, którą kochało, by przestać cierpieć z wyczerpującej tęsknoty. Ale strach i rozsądek trzymały na wodzy, nie pozwalając się ruszyć choć o pół kroku, bo mimo że nie było go słychać, łowca dalej mógł czaić się w okolicy.

Wreszcie jednak młody królik wyrwał się z krępujących go więzów, by ruszyć w stronę otworu, przez który z szumem wpadała nocna bryza, bo miłość była znacznie silniejsza od trwogi.

*Śmiało przez ciemność przebijaj się sam...*

Wychylił głowę na zewnątrz, strzygąc długimi uszami – polana skąpana była w bladym, księżycowym świetle. Królik rozejrzył się i spostrzegł, że w pobliżu nie było nikogo. Skąd więc dochodził szept?

Zebrawszy się na odwagę, wyskoczył na murawę i stanął dęba, jak czujny strażnik, próbując dojrzeć źródło szeptu. Tracił nadzieję. Być może to on sam szeptał?...

*By znaleźć to, co w sercu twym trwa...*

Wtedy kątem oka uchwycił błysk czerwonego ślepie.

Zanim zdążył zorientować się, co widzi i zanim zdążył podjąć decyzję o ucieczce, wilk wyciągnął się ku górze i skoczył. Ziemia zadrżała pod jego potężnymi łapami, a królik znalazł się w jego wielkich, głodnych krwi szczękach.

Po czym zniknął w mroku.

Nauczył się wiersza.





**Amelia Goździk**  
(godło: Etopiryńka)  
**Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2**  
**im. Stanisława Staszica**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

## **Ziemia, która woła**

Ziemia. Nie ta w doniczce, nie ta w kieszeni dziecka po zabawie w ogrodzie. Mówię o ziemi prawdziwej – ciemnej, żywej, wilgotnej. Prześiąkniętej historią, krwią i modlitwą. O ziemi, która zna język bólu i nadziei. O ziemi, która milczy, ale w tym milczeniu brzmi donośniejszy głos niż w najgłośniejszych przemówieniach. O Polsce. Kiedy stoję boso na tej ziemi, czuję, jak coś niewidzialnego wnika we mnie przez stopy, jak cichy szept przodków wspina się po moich żyłach aż do serca. Jakby chciała mi powiedzieć: *Nie zapomnij*. Jakby upominała: *Nie jesteś pierwszy. Nie jesteś sam. Nie jesteś bez korzeni*.

Patriotyzm... Czymże on dziś jest? Często używany jak hasło reklamowe. Czasem – niestety – staje się narzędziem podziału. A przecież w swojej najgłębszej, najczystszej formie nie dzieli, lecz jednoczy. Nie rani, lecz leczy. Nie karze, lecz prowadzi. Dla mnie patriotyzm nie jest tylko barwami na twarzy w czasie meczu. Nie jest tylko hymnem śpiewanym odświętnie. Jest czymś głębszym – codziennym wyborem. Pamięcią. Wiernością. Jest mostem między przeszłością a przyszłością, zbudowanym z cegieł naszych decyzji, naszych wartości, naszego języka.

Kiedy byłem dzieckiem, nie rozumiałem, czym jest Ojczyzna. Słowo to było zbyt wielkie, zbyt abstrakcyjne. Ale potem nadeszły opowieści. Babcia, o zmarszczkach jak mapa Kresów, mówiła szeptem o czasach wojny. O tym jak nocą, z narażeniem życia, przemyślała bochenek chleba dla ukrywającego się Żyda. O tym, jak ścisła w dłoni różaniec, kiedy Niemcy przeszukiwali dom. O tym, jak jej matka mówiła: *Nie zdradzaj języka. Język to nie tylko słowa – to godność*. Dziadek nigdy nie mówił wiele. Ale

w jego szafce leżała opaska z Powstania. Biel i czerwień – zakrwawione, wyblakłe. Czasem patrzył na nią z takim smutkiem, że nie śmiałem pytać. Dopiero później zrozumiałem: ta opaska była świadkiem jego młodości, pożegnanej bezpowrotnie. Była jak relikwia – przypomnienie, że wolność nie jest dana raz na zawsze. Że jest krucha. Że jest wyborem. W ich historiach nie było patosu. Nie było wielkich słów. Była cicha siła. I była prawda. Prawda o tym, że patriotyzm to często nie heroiczne gesty, lecz codzienne poświęcenia. Że to nie tylko śmierć za Ojczyznę, ale też życie dla niej.

Dziś, gdy idę przez ulice mojego miasta, widzę ślady tych, którzy byli tu przed nami. Tablice pamiątkowe na murach, nazwy ulic – Słowackiego, Piłsudskiego, Żołnierzy Wyklętych. I zastanawiam się: ilu z nas jeszcze zna ich historię? Ilu zatrzymuje się, by przeczytać inskrypcję wyrytą w granicie? Widzę też młodych ludzi – z telefonami, z głowami pochylonymi nad ekranami. Nie potępiam. Sam jestem jednym z nich. Ale pytam: czy jeszcze słyszymy głos ziemi? Czy jeszcze czujemy bicie serca Ojczyzny, czy już tylko wibracje powiadomień? Być patriotą w XXI wieku to inne wyzwanie niż kiedyś. Nie musimy walczyć z karabinem w rękę. Ale musimy walczyć – z obojętnością, z ignorancją, z relatywizmem. Musimy bronić historii, której nie przeżyliśmy, ale która ukształtowała nas bardziej niż zdajemy sobie sprawę. To trudniejsza walka, bo nie ma orderów. Bo nie ma pomników. Bo nikt nie będzie klaskał, gdy odmówisz udziału w hejcie, gdy staniesz w obronie języka, gdy powiesz: *Kocham swój kraj, choć nie jest doskonały*. Język polski – ten, którym mówimy, którym śnimy, którym modlimy się do Boga – jest jednym z najpiękniejszych darów, jakie otrzymaliśmy. I jednym z najbardziej niedocenianych. W czasach zaborów za jego używanie groziła kara. W szkołach uczono po rosyjsku lub niemiecku. Polszczyzna przetrwała tylko dzięki matkom i ojcom, którzy szeptali ją dzieciom do snu. Dzięki poetom, którzy ukrywali ją w metaforach. Dzięki księżom, którzy nie przestali odprawiać mszy w języku narodu. Dziś, kiedy słyszę, jak język ojczysty ginie pod naporem skrótów, wulgaryzmów i kalk językowych, czuję żal. Ale i odpowiedzialność. Bo patriotyzm to także dbałość o słowo. O czystość mowy. O piękno poezji, którą nasi przodkowie chronili jak relikwię. Gdy recytuję Norwida, czuję, że nie jestem sam. Że jestem ogniwem w łańcuchu pokoleń. Że moje słowa to echo ich modlitw, ich krzyku, ich cierpliwego milczenia. Język jest

jak rzeka – nie wolno go zatrzymać, nie wolno zanieczyścić. Musi płynąć, czysty i silny, bo w nim mieszkają wszystkie nasze historie.

Ile razy myślę o Polsce, nie przychodzi mi na myśl polityka ani ekran telewizora, ani głosy krzyczące z mównic. Myślę o polu zboża pod zachodzącym słońcem. O wsi, gdzie cisza przerywana jest tylko śpiewem ptaków i stukotem wozu. Myślę o święcie Wszystkich Świętych – o zniczach, które jak gwiazdy spadają na cmentarze. Myślę o Wigilii, kiedy białe opłatki stają się mostem pomiędzy skłóconymi sercami. Polska to nie tylko granice i hymn. Polska to wspomnienie. To smak kompotu z wiśni, głos dziadka opowiadającego o młodości. To pierwsza książka przeczytana pod kołdrą przy łątarce. Polska żyje w detalach, w przedmiotach, w codzienności. I to właśnie czyni ją wieczną. Czasem pytam sam siebie: czy potrafiłbym oddać życie za Polskę? I w tym pytaniu nie chodzi tylko o heroizm, ale o gotowość, by codziennie coś z siebie oddać – czas, uwagę, pamięć. Patriotyzm nie zawsze żąda krwi. Częściej żąda sumienia. A ono potrafi być bardziej wymagające. Widzę czasem ludzi, którzy mówią: *Ojczyzna mnie zawiodła*. I może mają rację. Ale wtedy przypomina mi się historia pewnego żołnierza, który napisał w liście z frontu: *Polska jest jak matka – nie zawsze sprawiedliwa, nie zawsze czuła, czasem surowa – ale zawsze matka. Nie wybiera się jej. Kocha się ją*. Miłość do ojczyzny nie jest ślepa, jest świadoma. Widzi błędy, ale nie przestaje trwać. Widzi rany, ale nie odwraca się. Patriotyzm nie jest romantyczną iluzją, ale codzienną decyzją, by być wiernym, nawet gdy łatwiej byłoby odejść.

Prawdziwa miłość do Polski nie manifestuje się tylko na defiladach, nie błyszczy jedynie w świetle fajerwerków 11 listopada. Prawdziwa miłość do Polski to ta, która sprząta po sobie w lesie, która pomaga starszej sąsiadce z zakupami. Która głosuje świadomie, która mówi prawdę, choć niewygodną. Która sięga po polską książkę, śpiewa polską piosenkę, zna polską historię. To nie jest łatwa miłość. Bo Polska to nie kraj marzeń – to kraj pamięci. A pamięć bywa bolesna. Bywa trudna. Ale to właśnie ona buduje tożsamość. Byłem kiedyś na Monte Cassino. Stałem tam, pośród białych krzyży i czułem, jak coś mnie ścisną w gardle. Tam spoczywają młodzi ludzie, którzy nigdy nie wrócili do domu. Dla których Ojczyzna była już tylko marzeniem. Umierali, śpiewając „Czerwone maki”. I wtedy zrozumiałem – Polska może być bardzo daleko, ale jeśli masz ją w sercu, to

jesteś u siebie. Dziś, kiedy młodzi wyjeżdżają za granicę, często słyszę: *Ja nie czuję już tego wszystkiego. Polska to dla mnie tylko kraj urodzenia.* Ale ja wierzę, że patriotyzm może się odrodzić – jak las po burzy, jak źródło po suszy. Trzeba tylko dotknąć ziemi. Spojrzeć w oczy starszemu człowiekowi. Usłyszeć historię. I pozwolić sercu odpowiedzieć. Bo Polska woła. Nie głośno. Cicho. Jak modlitwa.

Woła przez ciszę cmentarzy. Przez zapomniane piosenki. Przez stare fotografie w rodzinnych albumach. Woła przez matkę, która tuli dziecko w nocy, przez nauczyciela, który opowiada o Katyniu, przez pielęgniarkę, która pracuje po godzinach, bo wie, że jej służba to także służba krajowi. Polska woła i każdy z nas ma wybór: udawać, że nie słyszy albo odpowiedzieć. Nie heroicznie. Po prostu – uczciwie.

Może nie jestem bohaterem. Może nie zapiszę się w podręcznikach. Ale jeśli każdego dnia będę żył tak, by nie wstydziła się mnie ta ziemia – to może to wystarczy. Bo patriotyzm to nie słowa. To ślady, które zostawiamy. W języku. W pamięci. W drugim człowieku. A ziemia... ona pamięta. I milczy. Ale kiedyś przemówi. I zapyta: co zrobiłeś z tym, co ci dałam? Ale ziemia nie pyta od razu. Czeka. Cierpliwie i z pokorą. Zna naturę człowieka. Wie, że często uczy się on powoli, że dojrzewa do zrozumienia. Polska, choć tak wiele przeszła, nie domaga się od nas wielkich poświęceń – domaga się raczej uważności. Uczy nas słuchać. Kiedyś myślałem, że patriotyzm to po prostu uczucie – coś, co się ma albo nie ma. Że to jak kolor oczu, cecha niezmienna. Dziś wiem, że to nieprawda. Patriotyzm jest procesem. To droga. Czasem prosta, częściej pełna zakrętów. Czasem oddalamy się od niej, czasem wracamy. Ale ona zawsze gdzieś jest – czeka, jak dobrze znany głos, który można rozpoznać nawet po latach ciszy.

Bywa, że czujemy wstyd. Że nasze społeczeństwo nie jest takie, jak chcielibyśmy. Że historia boli. Że teraźniejszość rozczarowuje. Ale czy wstyd nie jest również oznaką miłości? Czyż nie boli nas najbardziej to, co jest nam najbliższe? Gdyby Polska nie była częścią naszego serca, nie zależałoby nam. A skoro zależy – to znaczy, że wciąż kochamy.

Czasem myślę o tych, którzy nigdy nie widzieli Polski, a walczyli za nią. O zesłańcach na Syberii, którzy zamierzali, nucąc *Jeszcze Polska nie zginęła*. O emigrantach, którzy umierali w Nowym Jorku, z fotografią ojczystej wsi pod poduszką. O dzieciach, które uczyły się pisać po polsku na

marginesach niemieckich ksiązek. Czym była dla nich Polska? Przecież nie państwem, nie paszportem, nie instytucją. Była ideą. Tęsknotą. Obietnicą powrotu. Dla nich Polska była jak modlitwa – wypowiedana szeptem, gdy nikt nie słyszał, a jednak najważniejsza. I może to właśnie jest odpowiedź: patriotyzm to nasza modlitwa do Ojczyzny. Modlitwa nie słowami, lecz życiem. Każdym wyborem, jakiego dokonujemy.

Zdarza mi się spotkać ludzi, którzy nie widzą sensu w patriotyzmie. Mówią: *Świat się zmienił, dziś jesteśmy obywatelami świata*. Ale ja pytam: jak można być obywatelem świata, jeśli nie zna się swojej ziemi? Jeśli nie rozumie się swojego dziedzictwa? Drzewo, które nie ma korzeni, nie przetrwa pierwszego silniejszego wiatru. A Polska – nasza Polska – to właśnie nasze korzenie. To nasz grunt. Nasza gleba. Nie twierdzę, że wszystko, co polskie, jest doskonałe. Przeciwnie – nasza historia to opowieść o błędach, o zdradach, o chwilach hańby. Ale również o naprawie. O podnoszeniu się z kolan. O wierze, która przetrwała, nawet gdy wszystko inne zawiodło. To nie mit, to rzeczywistość zapisana w bliźnach. Jest coś głęboko duchowe w polskim cierpieniu. W naszej poezji, w naszej muzyce, w obrazach Matejki i słowach Wyspiańskiego, w spojrzeniu matki, która wie, że jej syn może nie wrócić. Polska to kraj, który umiał płakać i się poddać. Który uczył się chodzić od nowa po każdym ciosie. I może dlatego właśnie zasługuje na naszą lojalność – nie dlatego, że jest łatwa do kochania, ale dlatego, że tak długo walczyła, by w ogóle istnieć.

Pamiętam dzień, w którym po raz pierwszy świadomie zaśpiewałem hymn. Nie w szkole, nie na uroczystości. Po prostu – sam, w lesie, idąc ścieżką, którą chodził mój pradziadek. I wtedy poczułem dreszcz. Nie z dumy. Z odpowiedzialności. Bo te słowa nie są tylko melodią – są przysięgą. Obietnicą, że nie zapomnę. Że będę trwał. Że jeśli przyjdzie chwila próby, stanę tam, gdzie trzeba.

Patriotyzm to również cisza. To chwila milczenia przy grobie nieznanego żołnierza. To łza, która spływa po policzku, kiedy w radiu słyszysz dźwięki Mazurka Dąbrowskiego. To to, czego nie da się powiedzieć – ale co się czuje. W głębi. Tam, gdzie mieszkają sumienie i prawda. Dlatego właśnie nie wierzę, że patriotyzm może umrzeć. Może zostać zapomniany na chwilę, może być wyśmiany. Ale nie zginie. Bo nawet jeśli zamilkną głosy, ziemia nadal będzie mówić. Przez drzewa. Przez rzeki. Przez stare

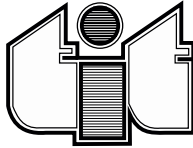
modrzewie i pęknięte kamienie. Polska nie przemija. Polska się przecho-  
wuje – w nas. I kiedyś, być może wiele lat po naszej śmierci, ktoś otworzy  
starą książkę, znajdzie list, wysłucha nagrania głosu i zrozumie: *Tak, to  
była miłość*. Może trudna, może wymagająca, ale prawdziwa. Bo nie ma  
większej miłości niż ta, która łączy ludzi z ich domem. A Polska, jakkol-  
wiek ją nazwiemy, jakkolwiek ją podzielimy – zawsze będzie domem.



## Patronat Honorowy



## Patronat Medialny



## Patronat

